

Przeżytek

Tekst Barbary Witek-Swinarskiej, „O dystansie, czyli rozmowa z mistrzem” („Życie Literackie” 1963, nr 38), zajmuje bezdyskusyjnie pierwsze miejsce wśród ataków na Gombrowicza. Przedstawiła go nie tylko jako pyszałka, zmateralizowanego cynika, odpychającego nawet zewnątrz: *Coś nieprzyjemnego w ładnych ustach i coś bardzo obcego w bardzo niebieskich oczach*. Przede wszystkim jednak nieautoryzowaną rozmowę z Gombrowiczem przekazała w formie wywiadu. Przypisała mu wypowiedzi świadczące o bagatelizowaniu i wybielaniu zbrodni hitlerowskich w Polsce, o sympatiach faszystowskich. To wszystko – jak sugerowała – za pieniądze stypendium Fundacji Forda, które otrzymał w roku 1963.

Rozpętała przeciw niemu prasową burzę. Zaatakował go nieistniejący już dziś tygodnik „7 Dni w Polsce”, Ludwik Hieronim Morstin w „Życiu Warszawy”, którego tekst przedrukowała również „Trybuna Ludu”, w „Kulturze” Stanisław Zieliński, Krzysztof Teodor Toeplitz.

Gombrowicz wysłał sprostowanie do „Życia Literackiego”, do „7 Dni”, „Życia Warszawy” i „Trybuny Ludu” oraz ZLP. Wydrukowało je tylko „Życie Literackie” (nr 50), i to bez daty, z trzymiesięcznym opóźnieniem; w dodatku – jak pisał potem – *opatrując chytrze dobranymi cytatami z mego „Dziennika”, które miały wykazać, że jednak jestem potwór...**

(...) *Nie jest to żaden wywiad ze mną – pisał w sprostowaniu – jak mylnie podano w kilku polskich gazetach, a tylko opis prywatnego ze mną spotkania. (...)*

W felietonie swoim pani Witek-Swinarska wkłada w moje usta poglądy, których ja nigdy nie wypowiedziałem. W najczarniejszym śnie nie mogłaby mnie nawiedzić nikczemna intencja wybielania, czy choćby bagatelizowania, zbrodni hitlerowskich w Polsce, które najostrożniej potępiam wraz ze wszystkimi uczciwymi ludźmi świata. Nie może istnieć co do tego najmniejsza wątpliwość, gdyż kilkakrotnie wypowiedziałem się na ten temat w moim „Dzienniku”. Odnoszę się z największym szacunkiem do niebywałych cierpień Polaków w czasie ostatniej wojny.

* „Dziennik”, Paryż 1971, t. 3, s. 147.

„Sprawie Swinarskiej” poświęcił Gombrowicz spory rozdział w swoim „Dzienniku” z Berlina Zachodniego – bardzo go to wszystko dotknęło. Z jego korespondencji do rodziny w kraju, rozmów z wieloma osobami, które widziały się z nim po jego przyjeździe z Argentyny do Europy, wynika także, że pomyślał poważnie o odwiedzeniu Polski. Po tekście Swinarskiej i burzy, którą wywołał – zrezygnował z planów.

* * *

Barbara Witek-Swinarska od razu uprzedziła, że nie odwoła słowa ze swego tak głośnego niegdyś tekstu. Wręcz przeciwnie. Może najwyżej dodać kilka wyjaśniających szczegółów, niezbyt – i tym razem – pochlebnych dla Gombrowicza. Udowadniających natomiast jeszcze bardziej, że racja i prawda były po jej stronie.

Wcale też tego tekstu nie żałuje. Nie czuje się winna ani nawet odpowiedzialna. Po prostu uważa, że w tej akurat sprawie zdecydował wyłącznie spłot nieoczekiwanych przypadków, które potoczyły się niczym lawina, niezależnie od jej i jego woli.

Przypadek pierwszy to mieszkanie, które razem z mężem, nieżyjącym już reżyserem Konradem Swinarskim, odziedziczyła po Gombrowiczu. W roku 1963 pojechała bowiem do Berlina Zachodniego z mężem, którego zaprosił teatr Schaubühne. Dostali mieszkanie właśnie w pracowni Akademie der Künste, zajmowanej poprzednio przez Gombrowicza, którego już wcześniej przeniesiono do równie wygodnego i pięknego apartamentu na Hohenzollerndamm, czyli niewiele dalej. Mieszkali tak blisko siebie przez kilka dobrych miesięcy, nigdy się jednak na siebie nie natknęli, choć Swinarscy wiedzieli już wtedy, że Gombrowicz przebywa w Berlinie Zachodnim. Mieszkanie po nim zrobiło jednak swoje. Fluidy – widać – były tak silne, że ją do niego zaciągnęły.

Przypadek drugi to Klaus Völker, młody literat z Berlina Zachodniego, który zabrał ją na *Lesung*, czyli wieczór autorski Gombrowicza. Nie chciała iść – ze względów ideowych pisarze emigracyjni nigdy jej nie interesowali. Cóż mogą mieć do powiedzenia? Ich światy i poglądy są już przecież martwe. I co ważniejsze, dlaczego tworzą na emigracji, skoro w kraju – mimo naturalnie pewnych niedociągnięć – istnieje przecież swoboda twórcza.

Było to wtedy nie tylko jej zdanie. Młodzi ludzie z kręgu teatru Schaubühne, chociażby Dieter, jego kierownik literacki, czy też Klaus Völker i inni mieli nastawienie wybitnie prokomunistyczne, antyamerykańskie, byli nawet zbliżeni do grupy Ulriki Meinhof. Urządzali demonstracje przeciwko wojnie w Wietnamie, obrzucali szacha i szachową Iranu zgniłymi pomidorami. Czytali niemal wyłącznie dzieła Marksa i Lenina, ubierali się w wojskowe, zielone kurtki. Pisarz, który – tak jak Gombrowicz – wybrał jednak emigrację, a nie kraj ludowej demokracji, był dla nich co najmniej dziwolągiem.

Chcieli na kogoś takiego popatrzeć, posłuchać, co będzie mówił, dlatego właśnie wybrali się na jego wieczór.

Nie wiadomo, czy dziś, po tylu już latach różnych doświadczeń, są nadal tacy sami. W każdym razie Barbara Witek-Swinarska nie zmieniła poglądów, o czym też od razu niemal uprzedza, żeby nie było nieporozumień.

Spotkanie ze studentami odbyło się w domu akademickim w dzielnicy Eichkamp. Gombrowicz opisał je potem w „Dzienniku” z Berlina Zachodniego, lecz – przynajmniej z jej punktu widzenia – wyglądało to wszystko nieco inaczej. Oprócz Gombrowicza zaproszono wtedy także Petera Weissa i młodego poetę Maxa Hölzera. Po kilku słowach wstępnych wygłoszonych przez prowadzącego, profesora Höllera, każdy z nich czytał studentom fragmenty swoich dzieł.

Gombrowicz wzbraniał się przed czytaniem, tłumacząc się słabą znajomością niemieckiego. W końcu dał się jednak namówić na fragment „Ferdydurke” – „Filidora dzieckiem podszytego”. Ale ponieważ czytał po niemiecku rzeczywiście fatalnie, zaczął te fragmenty odgrywać. Łapał się za serce, drapał za uchem, siadał, stawał, gestykulował, robił najróżniejsze miny. Trzeba przyznać, swady aktorskiej mu nie brakowało. Wygłosił też do studentów kilka słów od siebie – że jego serce należy właśnie do młodzieży niemieckiej itd. Byli zachwyceni, zupełnie ich podbił – śmiali się, bili mu brawa.

Jedyną odpowiedzią na poważny, solidny i porządny niemiecki *Lesung* był śmiech rozwalający wszystko – pisał Gombrowicz w „Dzienniku” z Berlina. – *Mogłem liczyć tylko na śmiech burszowski, studencki, swobodny...**

– Dla mnie natomiast – mówi Barbara Witek-Swinarska – był to wieczór zenujący. Wspomina go z niesmakiem do dziś. Gombrowicz był zbyt niepoważny. Oczywiście, że to nudne, gdy pisarz jest zbyt namaszczonej, jednak bez przesady w drugą stronę. Weiss i Hölzer czytali swoje fragmenty bardzo serio, z godnością, jaka przystoi pisarzowi. On natomiast wyglądał na ich tle niczym błazen. Wyglupiał się przed niemieckimi smarkaczami, którzy byli pewnie święcie przekonani, że Polska nie wydaje Gombrowicza przede wszystkim za jego humor.

Jej znajomym z kręgu teatru Schaubühne też się nie podobał. Byli śmiertelnie poważni, zainteresowani głównie polityką, sprawami społecznymi, a tu pisarz Polak czytał – jak mówili – dyrdymały o jakimś Filidorze i Anty-Filidorze. Był też dla nich zbyt „luźny” i zachodni. Nie nastały bowiem jeszcze czasy mody na luz, swobodę w każdej dziedzinie. A już szczególnie raziła ich u pisarza Polaka.

Jeszcze przed wieczorem autorskim Gombrowicza spodziewała się właściwie, co ją czeka. Dieter, który poznał go wcześniej, mówił, że to przede wszystkim kłown, aktor z variété. Rzeczywistość przeszła jednak jej oczekiwania. Tak że, gdy się potem spotkali, była już do niego nieprzychylnie nastawiona.

* Tamże, s. 138.

Sam wieczór autorski nie miałby oczywiście większego znaczenia, gdyby nie kolejny przypadek. Otóż Gombrowicz chciał się spotkać z Konradem Swinarskim.

– Myślał pewnie, żeby zainteresować go którąś ze swoich sztuk – mówi Barbara Witek-Swinarska. Swinarski reżyserował przecież wtedy w Schaubühne „Śmierć Taretkina”, miał umowę na „Marata” w Schillertheater. Gombrowicz umówił się więc z nimi przez Klausa Völke. Zaprosił Swinarskiego do siebie na niedzielę, na płyty. Swinarski nie mógł jednak przyjść, a poza tym – jak twierdzi Barbara Witek-Swinarska – nie chciał, nie widział powodu.

Przypadek numer cztery to brak telefonu w berlińskim mieszkaniu Gombrowicza. Poszła więc do niego odwołać spotkanie. Ponieważ szła z przeprosinami, przyniosła mu różowy goździk, a nie różę, jak pisał potem w „Dzienniku”.

Choć był przecież ze Swinarskim umówiony, spał sobie w najlepsze. Wstał, narzucił na piżamę szlafrok, szybko się przebrał.

– Pomyliłem godziny – przeproszał i usprawiedliwiał się. Choć nic się oczywiście nie stało, czuł się widocznie winny, że zapomniał o spotkaniu, zaprosił ją bowiem na kawę do dość obskurnej kawiarenki przy metrze Fehr-berliner Platz.

O tym, że nie z nią był umówiony, lecz ze Swinarskim, nie wspomniał jakoś w „Dzienniku”. Dla niej natomiast to fakt bardzo istotny. Wcale nie chciała się z tym „przeżytkiem” spotykać, po prostu jakoś to wyszło, „wpadł” niejako jej w ręce.

Początkowo nic nie zapowiadało burzy. Ot, zwyczajna kawiarniana rozmowa. Opowiadał, że i w Berlinie, i w Paryżu odwiedzają go pisarze z Polski. To oni szukają z nim kontaktu, nie on. Przychodzą niczym po namaszczenie – dają mu do zaopiniowania swoje książki, chcą z nim rozmawiać, z nabożnym szacunkiem słuchają tego, co mówi. Nie ukrywają, że w kraju nic najprawdopodobniej nie napiszą o spotkaniu z nim, nie był to bowiem najlepszy okres na pisanie o Gombrowiczu.

– I co pani na to? – pytał, ponieważ Barbara Witek-Swinarska broniła ostro tezy o wolności słowa panującej w Polsce. Są naturalnie niedociągnięcia, błędy, ale ogólnie rzecz biorąc, jest to jej zdaniem fakt bezdyskusyjny.

Przeliczał też ciągle dolary na marki, które dostać miał z Fundacji Forda. Cieszył się tymi pieniędzmi jak dziecko; wyglądało, że nie widział zbyt często większych sum. Bardzo ją to wszystko denerwowało, ale tak naprawdę zaczęło się, gdy to on, nie ona, rozpoczął jakby nigdy nic rozmowę o niemieckiej moralności i mentalności.

– A mnie Niemcy wymordowali całą rodzinę, ani jedna moja koleżanka nie przeżyła wojny. Dla mnie Niemcy to wyłącznie śmiertelni wrogowie, a wojna to do dziś temat święty, jest w nim granica, której przekroczyć nie wolno, dalej bowiem można najwyżej klęknąć z szacunkiem. On jednakże był od tego bardzo daleki. Uważałam również, że nie ma prawa oceniać

Niemców, wojnę spędził przecież w Argentynie. A nie sędzę, by odległość i dystans wyostrzały perspektywę, to wyłącznie jego tłumaczenie.

Powiedział to wszystko, co napisałam. Słowo w słowo. Że chęlpimy się cyfrą pięciu milionów zabitych. A Niemcy mordowali, bo tak im nakazywała ich tragiczna moralność. Starałam się nie przeinaczać jego słów, choć oczywiście wierne przytoczenie było niemożliwe – nie notowałam przecież... Z dziennikarstwem nie mam nic wspólnego, jestem aktorką. Kłamał, pisząc w sprostowaniu, że przypisałam mu słowa, których nie wypowiedział.

Napisał też w „Dzienniku”, że pożegnała się z nim i odeszła *w stanie niewątpliwej irytacji*. Zakończyło się tymczasem o wiele bardziej ostro. Porządnie sobie nawzajem nawymyślali, pod koniec już tylko krzyczeli. Wreszcie zerwała się od stolika, uciekła bez słowa pożegnania, nie zapłaciwszy nawet za siebie.

– Nie ukrywam – mówi – że bywam czasem furiatką, a i Gombrowicz się wtedy moimi poglądami zdenerwował. I te nerwy to jedyny aspekt sprawy, którego – trzeba przyznać – trochę żałuję.

Teraz, po tylu latach, gdy przybyło jej doświadczenia, gdy już wie, że lubił prowokować, robić na przekór, gdy przeczytała całość jego „Dziennika” i w ogóle wszystko, co napisał – nie brałaby jego słów tak śmiertelnie serio. Nie zgadzałyby się oczywiście z jego poglądami, lecz zaproponowałyby na przykład, żeby porozmawiali o czymś innym, spokojnie napili się kawy. Nie byłaby już taka szybka, krewka, bojowa. Nie pobiegłaby zaraz do siebie, żeby natychmiast, płonąc jeszcze z oburzenia, napisać o tym spotkaniu. Nie uważałaby tego – jak wtedy – za swój święty obowiązek. Tylko cóż, była młodsza, były inne czasy, uważała, że jego poglądom powinna dać natychmiastowy i zdecydowany odpór.

– W gruncie rzeczy – przyznaje i mięknie na moment – być może, zapędził się, jak to często przecież bywa w dyskusjach. Nie przypuszczał, że wezmę to wszystko na serio i zaraz opiszę. Nie mam właściwie pojęcia, czy po prostu nie prowokował. Raczej nie, mówił bardzo serio, z przejęciem, zapalił się. Być może, była to również forma prowokacji. Lecz jak już mówiłam, temat wojny i Niemców, moim zdaniem, do prowokacji się nie nadaje.

Tylko cóż, stało się. Pobiegła do mieszkania, szybko napisała, wysłała do „Życia Literackiego”, lawina się potoczyła. Nie przyszło jej nawet do głowy, że rozpęta przeciw niemu taką burzę w naszej prasie, audycje w zachodnich rozgłośniach, sprostowanie Gombrowicza itd.

– Bardzo mnie tym sprostowaniem rozczarował – mówi. – Myślałam, że powie dumnie: tak, tak właśnie myślę, to są moje poglądy!

Z drukiem jego sprostowania też był splot dalszych przypadków, a nie rezultat czyjejsz złej woli. Redaktor naczelny Władysław Machejek i jego ówczesny zastępca Jerzy Lovell byli akurat na urlopie. Nie miał kto zadecydować. Dlatego właśnie trochę się przeleżało.

Barbara Witek-Swinarska nie wie, kto z redakcji dobierał cytaty z „Dziennika”, którymi opatrzone sprostowanie Gombrowicza. To już nie jej

sprawa. Nie rozumie też, dlaczego miałyby natychmiast prostować, że nie był to wywiad, jak to wielu mylnie odczytało.

– Uważam – mówi – że to było jasne dla każdego. Jeżeli ktoś tego nie rozumiał, trudno.

Dalej już wszystko potoczyło się własnym życiem. Nie namawiała przecież Morstina, Zielińskiego czy Toeplitza, żeby występowali przeciwko Gombrowiczowi. Przecież nawet sam Artur Sandauer w eseju „Witold Gombrowicz, człowiek i pisarz”*, pisząc o jej tekście, przyznał: *Nie wątpię, że dziennikarka zwulgaryzowała jego słowa...* Dalej jednak wyraźnie brał w obronę ją, nie Gombrowicza, za co do dziś go wielbi. Pisał bowiem:

Wszelki sąd o nas, jeśli nie jest wyraźnie oszczerzy, jakoś o nas świadczy. Cały ton zresztą wywiadu – przechwalający się, przekorny, prowokacyjny – ma coś istic Gombrowiczowskiego. Czyż zresztą – jeśli o jego poglądy polityczne chodzi – nie pisze sam w „Dzienniku”, że „dość ma nakazów, aby widział brata w człowieku, który nie jest jego bratem”, że zamiast gwałtem oświecać „chamów” – należałoby „zostawić ich w spokoju”, że „prawie z niecierpliwością wygląda... bankructwa socjalizmu, demokracji... scjentyfizmu”... którymi faszerywała go epoka? (...) I – czyż w świetle tych wyznań – relacja owej dziennikarki nie wydaje się bliższa prawdy?

Po opublikowaniu tekstu zwrócił się do niej listownie Dominique de Roux, współautor przygotowywanej dla francuskiego wydawnictwa „l’Herne” pracy zbiorowej, poświęconej Gombrowiczowi. Przez – jak się okazało – ich wspólnego znajomego, Thomasa Harlana, młodego niemieckiego komunistę, przekazał jej list, w którym prosił o tekst czy tylko kilka słów do książki.

Nasz wspólny znajomy – pisał – powiedział mi, że Pani jest opuszczona po tym, co Pani napisała. Proszę napisać, jaka była reakcja jego wielbicieli? Czy była Pani dalej w korespondencji z Gombrowiczem? Czy moglibyśmy ją opublikować? Pani punkt widzenia byłby mile widziany oprócz wspomnień jego wielbicieli. Proszę napisać po polsku, niemiecku, francusku, w jakim języku Pani chce...

Nic na to nie odpowiedziała.

W kraju natomiast o kilka słów wyjaśnienia zwrócił się jedynie redaktor Janusz Wilhelmi z „Kultury”. Napisała, że wcale nie chciała spotkać się z Gombrowiczem, zadecydował splot przypadków itd. Nie wiadomo, dlaczego nie wydrukowali.

Przesłała wyjaśnienie, choć właściwie – czy tylko ona ponosiła odpowiedzialność? Nie była przecież dziennikarką, kolegium „Życia Literackiego” mogło jej tekstu nie wydrukować. W końcu w jego składzie był nawet i daw-

* „Kultura” (Warszawa) 1965, nr 42–43.

ny przyjaciel Gombrowicza z lat przedwojennych – Stefan Otwinowski. Czyż nie miał prawa głosu? Gdzie byli wtedy inni jego, tak podobno liczni, przyjaciele? Uczniowie? Wielbicie! Nie stawali jakoś w jego obronie. Nie słyszała o żadnym ich wystąpieniu, proteście.

W jej środowisku natomiast uważano, że dumnemu Gombrowiczowi bardzo się przytarcie nosa należało. Zazdrozczono jej, że „zrobiła” sobie nazwisko. Potem zresztą pisanie o nim coraz bardziej się urywało.

– Doprawdy, bawi mnie – śmieje się Barbara Witek-Swinarska – przypisywanie tak wielkiego wpływu mojemu tekstowi i burzy, która po nim nastąpiła. Nie przesadzajmy. Niestety, to nie ja, ale sam Gombrowicz zamknął sobie drogę do pełnego druku w kraju, przyjazdu tutaj. A oprócz tego, nie przesadzajmy też z wagą jego utworów.

Już po jego śmierci przeczytała wszystko, co napisał. I co? Otóż wcale nie uważa, że to takie wspaniałe. No, chyba że dla dziesięciu tysięcy intelektualistów, to wszystko.

– Miejscem pisarza – mówi zdecydowanie – jest według mnie jego kraj! Na dobre i na złe. Jeżeli świadomie wybrał emigrację, proszę bardzo, niech go tam drukują. Wrócił do kraju Tuwim, Słonimski, Wańkowicz, mógł i Gombrowicz.

Oprócz tego – jej zdaniem – żadna znów wielka strata, że nie wrócił do kraju. I już nie chodzi nawet o jego dzieła. Choć niby wielu jego wyznawców twierdzi, że właśnie jest arcy polski, że niemal czwarty wieszcz. Był kimś najbardziej chyba nagannym – kosmopolitą, ale pouczała go, że i tak od Polski nie ucieknie.

Bo jak ktoś raz widział wierzbiska rosochate – pisała – przy drogach gliniastych, bajorzastych, komu raz tylko koło nozdrzy pieczone zapachniały grule, kto raz słyszał organów granie (...) to już się przed tym nie opędzi...

– To ładnie, że uważa się mnie za jedną z czarnych postaci polskiej literatury. Bardzo mi się to podoba, wcale się nie obrażam – nie brak mi poczucia humoru. Proszę, w dowód tego mam dla pani różowy goździk, taki sam, jaki osiemnaście lat temu ofiarowałam Gombrowiczowi...